

ROLA

Rok V.
Kraków, dnia 6 sierpnia 1911 r.
Nr. 32.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 3o halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 1o halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

PLOTKA.

Bardziej boli od słowa, niż od miecza — mówi jedno przysłowie, a drugie: »Słowo wyleci ptakiem, a powróci wołem«. Obydwa zawierają ostrzeżenie, któreby aż nazbyt często przypominać trzeba.

Mowa daną jest człowiekowi na to, aby Boga chwalił a bliźniemu służył. Tymczasem jakże często mową obrażamy Boga, a bliźniemu szkodzimy! Zbyteczna gadatliwość — to jedna z najpospolitszych wad. Zwykle mówi się, że grzeszą nią kobiety, ale któż nie zna i gadatliwych mężczyzn?

Zato plotkę zrobi łatwiej kobieta, niż mężczyzna, a to z powodu, że mniej od niego myśli. On ma swój zawód, swoją pracę, oprócz tego nauczyć się czasem czegoś pragnie, więc czyta, więc chodzi na odczyty, bywa w Kółku rolniczem, a gospodyni, choćby i cały domowy obrządek na jej głowie spoczywał, zamiast przy tem myśleć lub choćby śpiewać, miele językiem i miele. O czem? Ponieważ nie umie czytać, myśleć poważnie nie chce, więc i to mlewo musi być plewą. Że się ot u sąsiadki pobiły parobki (podobno chodziło o Kasię wójtową), że się na probostwie ocieliła krowa (jegomość sam przeżegnał), że na Gromniczną będą zrękowiny organistowego Józka z ospowatą Franką (ciekawość, co na to powie młoda Walentowa). I tak idą nowinki jedna za drugą, sąsiadka głową kiwa, potakuje, czasem spór krótki wybuchnie, aż ostatecznie obiedwie rozejdą się w dwie strony, aby każda powtórzyła, co słyszała od tamtej, a każda trochę inaczej, bo z własnym dodatkiem.

Nietylko kłamią przytem, ale i szkodzą. Szkodzą często na dobrej sławie, której już się nie da naprawić. Bo jedni ludzie pomyślą, że to wszystko prawda; drudzy, że choć coś niecoś w tem prawdy być musi. I już tak na zawsze przylgnie do uczciwego nieraz imienia jakaś plama, jakiś cień. Majątkowe szkody, wynikające z plotki, mogą być mniej bolesne, ale często dotkliwe. Przypuśćmy, że chłop chciał dokupić gruntu, aż tu słychać, iż w mieście pożyczał pieniędzy, bo nie miał z czego opłacić podatku. Zaraz ów sprzedający grunt cofa swoje warunki, zamiast spłat półrocznych żąda gotówki i interes utrudnia. Tymczasem prawdą jest, że gospodarz pożyczał pieniądze, jeno nie dla siebie, ale dla sąsiada.

Ile to procesów, ile spraw sądowych wywołały niepotrzebne słowa! Ilu mężów wypędziła z domu gadatliwość żony! Ile rodzin poważniła, ile spokojnych istnień zatruła — plotka! Nikt jeszcze nie żałował, że powiedział zamało; ale wielu pragnęłoby módz cofnąć niebacznie wyrzeczone słowa. Lepiej dwa razy pomyśleć, niż raz powiedzieć; lepiej milczeć niż mówić, nawet we własnej obronie, cóż dopiero, gdy chodzi o oskarżanie innych.

Jak się oduczyć plotkarstwa? Przedewszystkiem wzbogacając swój umysł. Gdy głowa zajęta poważnemi sprawami, nie zajmują nas już ani zaloty Franków, ani korale wójciny, ani proboszczowskie pastwisko. Przeczytać, opowiedzieć, cośmy czytali, zastanowić się nad ulepszeniem pracy podjętej, nad poprawą czy to wychowania dzieci, czy gospodarskich czynności, w wolnej chwili choćby usiąść w ciszy — na chwilę zapatrzyć się w blask zachodzącego słońca, w zieleń sadu czy łąki, wsłuchać w szum rzeki podle młyna — i myśl posłać daleko i wysoko, do Boga i do braci, którzy są rozproszeni po całym świecie. Uszlachetniać duszę wogóle czemś lepszem, trwalszem, niż codzienne, bieżące drobiazgi życia, patrzeć dalej niż do granicy swego obejścia, a nawet granicy wsi — oto sposób odwrócenia umysłu od marnych drobiazgów sąsiedzkich, będących podstawą plotek, które nieraz wiele krzywdy ludziom przysparzają.

Rozbójnicze gniazdo.

V.

Ponury kraj. — Przyjazd do Gródka. — Złość Dorszaka. — Jak się Janosz zagospodarował. — Pierwsza noc na zameczku.

Wedle zapowiedzi cześnikowicza Seniuty, który z samopałem, wąsa nastrzępiwszy, jechał przodem, mila tylko już pozostawała do Gródka. Kraj coraz się stawał dzikszym, piękniejszym, górzystym, a droga coraz gorszą.

Miecznikowa i Jadzia ciekawie wyglądały z powozu obie. Po drodze żywej nie spotkano duszy. Kilka spalonych węgłów i osmalonych kominów stało nad drogą. Na jednem takiem rumowisku popasać musieli, korzystając z tego, że w bliskości dobra dla koni była woda i pasza, bo o sianie już ani mowy nie było. Kraj jednak dziwnie był piękny, jakby na ludzi czekał z bogactwy swojemi. Wszystko rosło bujnie, wysoko, gęsto. Ale dawniej uprawne pola leżały odłogiem, a wśród nich ledwie gdzie zdziczałe żyto, co się samo siało, dawało świadectwo o przeszłości.

Ku wieczorowi droga, którą Seniuta prowadził, wcisnęła się między góry i wąwozy. Janaszek jechał już teraz z Seniutą, bo przy powozie miejsca nie było. Seniuta jechał rozglądając się bacznie, za nim Janasz, oczyma biegając ciekawemi po górach. Ludzie nie śmieli się odzywać, ale wielce się im ten piękny kraj pustynny, z jego drogami piekielnemi kląć chciało. Ksiądz Żudra na wozie, dobywszy brewiarz, pacierze odmawiał. Na drugim Franka, jedyna niewiasta do posług wzięta, którą ciągle rozbójnikami straszono, z trwogi blada, ręce łamała. Godzinę się już tak coraz ciemniejszemi wąwozami wleczono, słońce skryło się za górami, choć jeszcze nie było zaszło, zaczynało się robić ciemno i Seniuta dla złych dróg radził pospieszać.

Miecznikowa, widząc się już niemal u celu, cieszyła się, że się próżnym strachom odwieść od swego zamiaru nie dała. Gródka tylko co nie było widać. Zmierzch zapadał, gdy Janaszek do drzwi przyskoczył, że wąwóz ostatni się kończy i że zamek gródecki za chwilę zobaczą.

Nie było już sposobu miecznikowej i Jadzi utrzymać w powozie, którego firanki widok zasłaniały. Kazały stanąć i wysiadły. W istocie wąwóz szeroko otwarty, dozwalał spojrzeć na ciasną dolinę, wśród której na wzgórku, oświetlony odblaskiem łuny zachodniej, szary zameczek się wznosił. Miecznikowa odmawiała modlitewkę dziękczynną, Jadzia także. Nędzniej od zamku wydawało się miasteczko ze swemi domostwy z chróstu i gliny, z karczmami pozapadanemi w ziemię. Wszyscy jezdni też patrzyli ciekawie na zamek, ale nie wesołemi oczyma. W istocie podobny był do niemieszkalnej ruiny. Z jednego komina trochę się dymu wiło do góry.

Powozy i konie stały tak chwilę, wydobywając się z wąwozu, aż Seniuta zakomenderował, że czas jechać, bo mrok potem nagle chwyci. W istocie, im niebo czyściejsze, a chmur mniej, które, jak zwierciadła, resztki światła dłużej ku ziemi odbijają, tem noc nadchodzi naglej. Ruszyli więc powoli, bo już nie było pół godziny drogi do zamku.

Miasteczko coraz wyraźniej się pokazywało. W niektórych oknach czerwone zabłyskiwały światełka. Już się ku niemu zbliżali, gdy pędem na koniu nadbiegł jeździec. Zbliżył się ku powozowi, czapkę do góry uniósł i okrzykiem radosnym witał. Był to Nikita, który zdala u wąwozu dostrzegłszy przybywających, konia dosiadł i wybiegł powitać panią. Okrzykiem też go przywitała miecznikowa.

— Jest gdzie przenocować? — zapytała.

Nikita ramionami ruszył.

— A juścić — rzekł — ale nie na gody pani tu jedzie... ano, o tem potem, dobrze, że szczęśliwie i zdrowo. Jeszcze z panem Janaszem słówko mam do pogadania.

I pocałowawszy panią w rękę, odbiegłszy, na konia siadł, aby przodem jadącego dognać. Seniuta z samopałem u siodła, składał straż przednią; można więc było rozmówić się swobodnie. Janaszka lubili wszyscy.

— Paniczu — szepnął, doganiając go Nikita — długoby gadać, com ja tu zastał; powiem jednem słowem: źle się święci, trzeba się mieć dzień i noc na baczności i z oka nie spuszczać Dorszaka.

— Już nas po trosze uprzedzono — rzekł Janasz. — Zamek ty znasz dobrze?

— Wszystkie kąty schodziłem, w każdą dziurę zajrzałem — rzekł Nikita.

— Ludzi dużo ma? — pytał Korczak.

— Tego tam niema co i liczyć; ale z kim on się wącha, Bóg jeden wie. Zamek dwojaki: dolny i górny. Oprócz kolebki i koni, które muszą bodaj zostać na dolnym, nam ani popasać, tylko wszystek górny zająć samym i nikogo tam więcej nie puszczać. Prawda, że się wrota nie zamykają, alem ja je opatrzył; jak my się weźniemy do nich, muszą się zawrzeć. Musimy się krzepko trzymać, chcemyli wyjść cało... Dorszak nie głupi, będzie pewno pani nadskakiwał i udawał wiernego sługę.

Zbliżali się do miasteczka, a że z niego na dolinę był widok otwarty i ludzie powozy łatwo dojrzeli, wysypała się cała ludność na targowicę. Zbierana to była drużyna, po większej części osiedlone włóczęgi: Wołochy, Rusini, Ormianie, niewiadomego pochodzenia ludzie, powierzchowności dzikiej i niewiele obiecującej. Jedni z odkrytemi głowami, drudzy w czapkach baranich i krymkach tatarskich, dzikiemi patrząc oczyma, ponuro i groźnie. Przed karczmami stali żydzi, żydówki i dzieci.

Miecznikowa i Jadzia spoglądały z ciekawością. Powóz zwolna sunął się ku mostowi zamkowemu. Tu dojechawszy, Nikita skoczył, radząc pani, aby wysiadła, bo most niebardzo pewien i życzył też konie przeprowadzić a kolebkę przepchnąć. Z drugiej strony za mostem już widać było Dorszaka, który, choć mu się twarz od złości i gniewu krzywiła, stał ubrany paradnie; żupanik jedwabny, kontusz czarny aksamitny, szabla u boku, żółte buty, czapka pod pachą a na ręku trzymał na półmisku chleb i sól. Starał się widocznie przybrać jak najłagodniejszą twarz, jak najpokorniejszą postawę. Nie wiadomo, czy sama z siebie, czy z jego rozkazu, wyszła też i stała za nim pani Dorszakowa w czarnej sukni i kaftaniku tureckim, z głową jedwabną piękną chustką zawiniętą. Twarz jej wschodniego typu, mimo wynędznienia, uderzała dumnemi resztkami dawnego wdzięku. Poza nimi parobcy, Tatiana, dziewczę małe, cała nędzna załoga zamkowa.

Miecznikowa, która Dorszaka nigdy nie widziała, zdala już, idąc, przypatrywać mu się zaczęła bacznie. Nie podobała się jej twarz, ale tego po sobie znać nie dała, owszem wesoły przybrała wyraz. Jadzia spoglądała na mury, ludzie przypatrywali się też ciekawie tej ruinie. Wszyscy zaraz z siodeł skoczyli i szli pieszo, konie prowadząc. Dorszak, choć najwięcej się wpatrywał w miecznikową, liczył też siły jej towarzyszące i ludziom się przypatrywał. Marsowe i spokojne oblicza, niezbyt mu się pewnie podo-

bały. Piękny Janasz, idący przodem, kilka razy zwrócił na siebie jego oko. Znać w nim było dowódcę.

Przestroga Nikity okazała się bardzo dobrą, gdyż most pod ciężarem kolebki uginać i chwiać się począł, konie i ludzi przeprowadzono też zosobna. Gdy się pani Zboińska zbliżyła do podstarościego, ten postąpił kilka kroków na powitanie.

— Wielkie to i niespodziewane dla nas szczęście, że do nas jasna pani zawitać raczyła — rzekł z wymuszonym uśmiechem. — Daj Boże, abyśmy ją tylko dobrze przyjąć mogli!

— Aby dobrem sercem, na resztę zważać nie będę — odezwała się miecznikowa. — Prowadź nas, panie Dorszak, na górny zameczek.

Zdziwił się i aż zwrócił, posłyszawszy o górnym; nie sądził, aby tak już oświadomiona była.

— Proszę jaśnie pani, to pustka! Jabym życzył u nas, na dolnym się rozłożyć. Tam będzie niewygodnie, bo to od wieków niezamieszkane.

Janasz spojrzał, oczyma dając znać, aby miecznikowa stała przy swojem, a ta wnet dodała:

— My sobie z niemi radę damy; ja waćpaństwu — rzekła, kłaniając się żonie Dorszaka, która ją pozdrowiła — ja waćpaństwu nie chcę być zawadą, i wolę tam być sama ze swoim dworem.

Nie było na to odpowiedzi. Weszli właśnie w pierwsze podwórze, które też nie bardzo świeżo wyglądało.

Nikita wyrwał się przodem, pokazując drogę; szli więc wszyscy za nim, szedł i Dorszak, ale widocznie gniewny, pod nosem mrucząc.

Kolebkę kazano wypakować na pierwszym dziedzińcu i rzeczy znosić na górę. Podstarości spróbował jeszcze nawrócić Janasza, w którym się domyślał dowódcy; lecz chłopak odparł mu odrazu, że wola miecznikowej spełnić się musi.

— No, to ja za nic nie odpowiadam! — krzyknął Dorszak. — Jak mi Bóg miły, tam i dach na głowy się obalić gotów; ale co mnie do tego!

Ciasnem przejściem poza budynkiem szły obie kobiety, po kamieniach i ostach, co w Jadzi podskakującej śmiech i wesołość obudzało. Doszli tak do wrot i spojrzeli na starą wieżę. Drzwi stały otworem. Nikita już się tam jak umiał zagospodarował. Pełniąc rozkazy pani, chciał koniecznie wieżę wyporządzić, do czego Dorszak, złoszcząc się, wszelkiej odmówił pomocy, a ze swej strony przygotowywał obok siebie pokoje. Nikita, który kłócić się nie chciał, najął sobie ludzi z miasteczka, sprzęt pozbierał u żydów, wyszorować go kazał i jako tako wieżę zagospodarował.

Miecznikowa nie mówiła nic. Jadzia biegła przodem, dziwując się pięknemu widokowi z tej wyżyny. Lecz rozpatrywać się w nim nie było czasu. Nikita już izby poprzeznaczał w myśli dla dworu i czeladzi. Dół zajmować miały kuchnie i straż. Szli tedy na górę. Dorszak pochmurny nie mówił nic. Pierwsze piętro jako tako obmyte, oczyszczone, opatrzone w ławy i stoły, z ogniem na kominach, nie przeraziło bardzo przybyłych. Zaszły kobiety aż do kaplicy, gdzie Nikita też, o ile umiał, trochę zrobił porządku. Nawet obraz rozdarty, który wisiał na pół, przybił, obmył i okazał się Chrystus na krzyżu a pod nim Jan św. i Matka Boża. Ksiądz Żudra, przesunąwszy się naprzód, zajął swe miejsce na schodku i litanię począł odmawiać głośno.

Dorszak, nie wchodząc do kapliczki za nimi, bo ledwie kilka osób pomieścić mogła, zdala od progu, przypatrywał się z twarzą chmurną i posępną. Dopiero po ukończeniu litanii, wstawszy, miecznikowa odezwała się do podstarościego.

— Widzisz waszmość, nie jest tu tak źle, a jeszcze i kapliczka w dodatku. Jutro nam ksiądz Żudra będzie mógł mszę św. odprawić.

Wrócili więc znowu do wielkiej izby, gdzie już szybko, pod dozorem Nikity, znoszono rzeczy, tłomoki i kufry. Janasz pobiegł na dół zamek oglądać i ludźmi rozporządzać. Seniuta też był czynny.

Dorszak jakiś czas stał na rozkazy wyczekując, bąkając ani to, ani owo; wreszcie zobaczywszy, iż się bez niego rozporządzają i obchodzą łatwo, wybiegł gniewny. Postrzegł już był wprzódy Seniutę między dworem, ale sobie tylko w oczy popatrzyli, i Dorszak brwi ściągnął strasznie. Teraz zbiegłszy na dół, znalazł go, na krzywych nogach stojącego u drzwi jak na straży i kręcącego wąsa.

— A waszmości tu jakie licho przyniosło i po co? żeby więcej gąb było do żywienia? — krzyknął.

— Ale tego — odchrząknął Seniuta, wcale nie zmieszany przywitaniem — nie czyni to ujmy honorowi szlacheckiemu.

Dorszak, ramionami ruszając, zbliżył się do ucha.

— Kat cię tu wniósł, stary wygo! — zgrzytnął. — Pewnoś tam paplał. . a no. . bylebyś nie żałował..

— Mosanie, ten — rzekł nieulękniony Seniuta — kto ma czyste sumienie, ten się języków nie lęka, a jam nie dziecko, żeby mnie kto nauki dawał.

Dorszak słuchał jednem uchem, a drugie zdawał się niespokojnie nastawiać, bo Janasz już rozkazy wydawał co do koni i ludzi, a właśnie się do nich przybliżał. Namarszczył brwi.

— Za pozwoleniem — wtrącił — ja tu nie wiem, co za rolę będę grał? Myślałem, że rozporządzenia należą do mnie, albo że się ze mną choć rozgadacie. Kto tu z nas rządzi?

— Na teraz — rzekł Janasz — dopóki pani miecznikowa na zamku, ja jestem z ręki miecznika dowódcą i rozkazuję.

— Dobrze wiedzieć — odparł krótko Dorszak i poczerwieniał.

Wnet, jakby się namyśliwszy, i spojrzawszy na młokosa, złagodniał znowu.

— No niema tu tak dalece co robić — rzekł. — Chodźcie do mojej żonki, wypoczniecie u nas, dereniak mam sławny. Ludzie sobie rady dadzą, jest tu ten wszędobylski Nikita, to i dosyć.

— Bardzo panu za gościnność dziękuję — wesoło odezwał się Janasz; — ale dziś niema czasu. Muszę sam dopilnować wszystkiego, ludziom stanowiska oznaczyć, konie pomieścić, broń opatrzyć.

— Oj! oj! a cóż to wojna! — roześmiał się Dorszak — po co tak wielkie ostrożności? Cha! cha!

— A no nie zawadzi ludzi czujnymi trzymać — rzekł Janasz. — U nas w drodze taki zwyczaj.

Skłonił się i odszedł, bo Nikita mu znaki dawał.

Dorszak stał, jak wkuty; chciał, zda się, odejść i nie mógł — patrzył, a po chwili zwrócił się do Seniuty.

— Co to za jeden? — spytał.

— To wychowanek i faworyt miecznika, ale tego, mosanie, chłop, i pałka zdrowa i ręka silna.

Dorszak się zakręcił, niespokojny. Mrok coraz silniejszy padał. Zapalono w zacisznych przymurkach pochodnie, a służba ciągle się krzątała. Podstarości zdawał się ich oczami liczyć, a usta mu się skrzywiły, jakby na śmiech, gdy postrzegł broń i amunicyę, które z wozów na dół znoszono do wieży. Kiwał głową, potem krokiem powolnym pociągnął na pierwsze podwórze. Miał już bramę przechodzić, gdy trafił właśnie na to, jak się z nią i ze staremi zawiasami mocowali ludzie, usiłując ją zamknąć. Nikita i Janasz stali przy tem. Dorszak się śmiać począł mocno i stanął.

— Cóż to jest? Po co? na co? Pół wieku się te wrota nie zamykały. Wrota są w pierwszym dziedzińcu, pocóż te?

Nikita nie odpowiedział nic, Janasz także, ludzie dalej swoje robili.

— Ale to boki zrywać! — mówił Dorszak — co wam się śni?... Tu żadnego niebezpieczeństwa niema!

— A co wam to szkodzi? — odparł Janasz spokojnie.

Widząc, że już tu ich nie przemoże, podstarości rzucił jakieś przekleństwo na pół ciche i poszedł do mieszkania. Wszedł do izby, drzwiami rzucając. Żonę już zastał na sofie, jak zawsze. Niechętnie rozmawiał z nią; tym razem jednak ze ścianamiby się był wdał w rozmowę, tak w piersi miał pełno.

— Poszaleli ci ludzie! — krzyknął. — To ten Seniuta musiał im nagadać. Ledwie mi głową miecznikowa kiwnęła, a gadać prawie nie chce, i sami tu się rozporządzają, jak we własnym domu.

— Milczałbyś — odezwała się — dosyć było twego panowania.

— Jeszcze to nie koniec — syknął Dorszak — zobaczymy, niech się sztyftują, jak chcą.

Żona śmiać się poczęła, co go jeszcze większym gniewem napełniło. Nie mówił nic tak, aby go zrozumieć było można, mruczał i chrapał jak zwierz rozzłoszczony, niekiedy pięść wyciągając ku górze. To znowu oknem wyglądając na krzątających się ludzi, którzy przestawiali, nosili, zabierali, ustawiali.

Janasz tymczasem niezmiernie był czynny, obchodził z Nikitą wszystkie kąty i zakątki. Gdy dla miecznikowej podróżną gotowano wieczerzę, a dla dworu krupnik z półgąsków, on z Nikitą, jakby na obozowisku stał przed nieprzyjacielem, opatrywał się, i nie tracąc chwili, ład zaprowadzał wojskowy.

Zameczek górny, pomimo opuszczenia, samem położeniem swem dosyć był obronny. Przeciwległą ścianę od wnijścia, na urwisku wzniesioną, oblewał staw, tak, że przystęp stąd był prawie niepodobieństwem; w prawo i w lewo woda nie dochodziła do góry, a szczególniej z jednej strony dosyć suchego było gruntu. Z małą garścią jednak bronić się tu było można i odeprzeć napaść wszelką. Najsłabszą była ściana, dzieląca zameczek od dolnego. Mur ten niewysoki, porozbijany, na który wdrapać się było łatwo, zamykała brama stara, słabo trzymająca się na zawiasach, którą ledwie zatrzasnąć zdołano. Ale żelaztwo z niej pospadało, drzewo było popróchniałe, zgniłe, dziór wiele. Tam na dole jak najmniej chciano zostawić rzeczy, a ludzi ściągnąć na górę do jednego. Nikita się ofiarował straż po drugiej stronie wrot odbywać. Janasz był już na obu basztach, a Nikita mu odkrył poza jedną z nich tajemną wycieczkę. Pod murami szły zarzucone na pół gruzem lochy, które dawniej snać cały zamek otaczały i różne miały wyjścia i rozgałęzienia. Miecznikowa z Jadzią i kapelanem posilały się na górze i rozmawiały cicho, a Janasza doczekać się nie mogły. Czynił on swoją powinność. Dopiero postawiwszy straże, wydawszy rozkazy ludziom, zbierał się iść sobie kąta szukać na drugie piętro, gdy na schodach zobaczył miecznikównę.

Dziewczę ze świecą w ręku patrzyło wgłąb, szukając go oczyma. Nie spostrzegłszy zrazu, Jadzia wołała:

— Wołać pana Korczaka.

— Panno miecznikówno, jam tu — odparł śmiejąc się chłopak.

— A! dobrze, chodź waszmość burę wziąć od jejmości. Gdzież się dziewasz? Poszedł i przepadł.

Minkę zrobiła groźną, ale się śmiała do niego. Janasz zbliżył się i za rękę ją wziąwszy, całował z uszanowaniem.

— Jaka panna Jadwiga dziś straszna! — zawołał — a cóż, kiedy ja się nie boję!

— Chodźże waszmość jeść, a to nam dowódca armii z głodu umrze! — przerwała Jadzia.

— Wolne żarty — rzekł Janasz, ocierając pot z czoła — a tu, doprawdy, niema z czego przedrwiwać. Kraj jak stworzony dla rozbójników... (zniżył głos), a Dorszak jakby na dowódcę urodzony. Mieszkać tu bez ludzi w wiekuistej trwodze.

— Jakiej? czego? — podchwyciła Jadzia, ramionami ruszając. — Całą drogę nas straszyli nadaremnie i nic się przecież nie stało. Ee! wszyscyście tchórze, nie wyjmując was nawet, mości hetmanie.

— Prawda, że się boimy, panno miecznikówno, ale wierzcie mi, nie o siebie. W drodze szczęśliwie udało się ujść niebezpieczeństwa, tu, Bóg wie, co da. Patrząc na podstarościego, rozumiem dlaczego nas straszono.

— Dosyć tej rozmowy na schodach, matka musi być niespokojna — zrywając się, biedz poczęła Jadzia. Wyprzedzając go, wbiegła na górę wesoło.

— Prowadzę jeńca — zawołała.

Miecznikowa siedziała za stołem.

— Gdzieżeś się waszmość dziewał? — spytała.

— Musiałem naprzód obozowisko obejrzeć — roześmiał się Janasz — straże postawić.

— A teraz siadaj i jedz co Bóg dał.

Podsunięto mu miski, Jadzia gospodarowała.

— Jeszcze nic nie wiem, co tu można dostać i czem będziemy żyli; jutro pójdziemy na zwiady — rzekła miecznikowa.

— Z przeproszeniem pani — odezwał się Janasz — na zwiady nikt bezemnie nie pójdzie. Jesteśmy na skraju, od nieprzyjaciela, a ja szyją moją odpowiem za drogie ich osoby.

— U stracha wielkie oczy — ruszając ramionami, poczęła miecznikowa.

Miała się rozmowa wytoczyć, gdy do drzwi zbliżyły się kroki. Wszedł Dorszak czerwony na twarzy i widocznie wzburzony. U progu ledwie głową kiwnął, jednę rękę miał założoną za pas, fantazyę podniecona. Stał czas jakiś, sapiąc w milczeniu, nikt go też zaczepiać nie spieszył się. Wpatrując się w twarz, łatwo było dostrzedz, jak się mieniła, gwoli myślom, które się w nim ucierały. Można było sądzić, że wybuchnie, potem pomiarkował się, rękę od pasa odjął i spuścił, twarz potarł nią, jakby z niej ślady wzburzenia chciał zetrzeć.

— Przyszedłem — rzekł ochrypłym nieco głosem — czy jaśnie pani co nie rozkaże?

Dorszak stał niby pokorny, ale z oczu mu błyskały jak iskry gniewu. Pan samowładny przez czas tak długi, schodził na sługę.

— Do granicy tureckiej daleko? — spytała miecznikowa.

— Turcy tu mają w sąsiedztwie kilka zamków zajętych — rzekł — ot i Bar... ale my z nimi jako tako żyjemy. Baszowie są ludzcy.

— A Tatarzy?

— Tatarzy — oczy błysnęły Dorszakowi — zwyczajnie dzicz, to tam nikogo nie słucha. Ale teraz o żadnych napaściach nie wiemy. Siedzą spokojnie.

— Bóg da, że się my od tego sąsiedztwa uwolnimy. Poszedł król nasz pod Wiedeń, jak tam zbiją, to i Podole się oswobodzi.

Uśmiechnął się Dorszak złośliwie.

— Ale jak ich nie zbiją, to się na nas mścić będą — mruknął.

— Ja — dodała, zmieniając rozmowę miecznikowa — gdy nieco spocznę i rozpatrzę się tutaj, ra-

dabym po włościach i ziemiach się przejechać, granice zobaczyć, osady, jakie są.

— Pustka to, jaśnie wielmożna pani — rzekł po chwili namysłu Dorszak, któremu oczy zajaśniały jakąś radością niedobrze ukrytą — ale zawsze obejrzeć warto. Gdyby jasna pani tylko raczyła zawczasu dzień oznaczyć, posłałoby się trochę zarośla przetrząść i drogi naprzód opatrzyć. Ja muszę koniecznie choć dwa razy na dwadzieścia cztery godziny wprzódy wiedzieć, kiedy to nastąpi.

— Słusznie, panie Dorszak, ja to oznajmię waćpanu; a teraz spocząć pora. Dobranoc waćpanu.

Już miał odchodzić, gdy miecznikowa, jakby coś sobie przypomniała, zatrzymała go.

— Poczekaj waszmość — rzekła, i szepnęła coś Jadzi, która do drugiego pokoju wybiegła.

Po chwili przyniosła pudełko, które miecznikowa otworzyła, dobywając z niego coś skrzętnie.

— Mąż mój nie chciał, abym tu z próżnemi rękami przybyła. Starym obyczajem gościniec się przywozi. Przyjm waszmość dobrem sercem tę drobnostkę — rzekła, podając mu złoty zegarek w dwóch kopertach, rzecz naówczas cenną i piękną.

Potem dobyła złotego łańcuszka.

— A to dla jego żony — dodała.

Dorszak rad nie rad, zmieszany trochę, do kolan się schylił, mrucząc jakieś podziękowanie. Zaczem skłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Milczenie panowało chwilę. Janasz też wstał, poszedł w rękę pocałować miecznikową, Jadzi się pokłonił, księdzu Żudrze także i zniknął.

Na górze Nikita mu posłanie przysposobił, bez łóżka wprawdzie, bo tych nie stało, a nawet tapczana nie było z czego zbić, lecz słomy miano podostatkiem. Janasz wprzódy jednak spuścił się na dół, ludzi zobaczyć, czy w miejscu byli i czujni, chociaż Seniuta, który się też na podhetmana wyswatał, uczynił to przed nim jeszcze. Niektórzy spali już po podróży, inni czuwali, mając się mieniać godzinami. Noc była chłodna, spokojna i dosyć jasna; za górami łuna blada zwiastowała księżyc.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Posłowie włościańscy do Rady państwa.

Począwszy od dzisiejszego numeru podawać będziemy przez parę tygodni portrety wszystkich posłów polskich wybranych w okręgach wiejskich całego kraju. W ten sposób Czytelnicy nasi poznają podobizny swoich przedstawicieli, w których ręce złożyli interesy nietylko swego okręgu woborczego, ale także całego kraju. Niestety kilku podać nie będziemy mogli, gdyż mimo usilnych próśb i starań nie zdołaliśmy pozyskać ich fotografij.



Jan bar. Götz Okocimski
(konserwatysta).



J. E. Dawid Abrahamowicz
(konserwatysta).



Dr. Ant. Matakiewicz
(konserwatysta).



Włodz. Kozłowski
(konserwatysta).



Jakób Bojko
(ludowiec).



J. Dębski
(narod. demokrata).



Mikołaj hr. Rey
(ludowiec).



Władysław Serwatowski
(konserwatysta).

Gawędy o różnych sprawach.

Oświecona wieś.

W guberni siedleckiej leży wieś Wola Orzechowska, w której wszyscy mieszkańcy umieją czytać i pisać. Korespondent jednej z gazet warszawskich opisuje historyę oświecenia tej wsi w następujący sposób:

»W owym zakątku kraju, na Podlasiu, prowadzona jest hodowla owiec na większą skalę. Nietylko dwory, ale i włościanie utrzymują większe lub mniejsze stada owiec, mając dla nich wspólne pastwiska. Włościanie jednej a często dwóch wsi sąsiednich utrzymują kosztem wspólnym owczarza gromadzkiego. Jestto zazwyczaj osobistość, posiadająca wyższe znaczenie, znajdująca posłuch, ogólnie szanowana. Sprytni owczarze od dawna już wyzyskują to stanowisko, trudniąc się pokątnem leczeniem, znachorstwem, co im przyniosło i dotychczas przynosi nieraz poważne dochody z łatwowierności ludzkiej.

Ale owczarz gromadzki z Woli Orzechowej, jaki się tam przed laty zgodził, całkiem inaczej sobie poczynał. Skąd przyszedł, skąd pochodził — nikt nie wiedział. Zdaje się, że owczarstwo w Wielkopolsce praktykował, albowiem w rozmowach swych wspominał często o gospodarstwach chłopskich »pod Prusakiem«, o tamtejszych porządkach, drogach, mostach, kasach pożyczkowych i o oświacie ludowej.

Podczas lata, gdy pasał owce, wyciągał z sobą wszystkie dzieci ze wsi i uczył je z elementarza. Pastuszkowie krów, nieopodal się pasących, również garnęli się do nauki.

Niezwykły ten owczarz w porze zimowej jeszcze gorliwiej pracę oświatową rozwijał. Zachęcał do uczenia się na elementarzu nietylko dzieci, ale i dorosłych. Miał szczególniejszy dar przekonywania nawet najoporniejszych leniuchów o potrzebie nauki.

Kiedy z roku na rok liczba umiejących czytać we wsi wzrastała, owczarz resztę opieszałych zniewalał do zdobycia umiejętności czytania.

— Nie umrę spokojnie — mówił często — póki choć jeden człowiek w Woli Orzechowej pozostanie ciemnym.

I dwudziestokilkoletnia praca oświatowa dziwnego owczarza wydała plon obfity, dający się stwierdzić z łatwością. Wieś bez ciemnych ludzi jaśnieje pięknym przykładem naokół. Gospodarstwa włościańskie są tam lepiej niż w sąsiednich wsiach prowadzone. Domostwa i inne budynki pokaźniejsze, schludniejsze, z sadami i pasiekami, wpadają mile w oko.

Obok zwiększonej zamożności i stan moralny wsi góruje nad innemi siołami.

— To szczera prawda, że w Woli Orzechowej niema ani jednego człowieka niepiśmiennego — potwierdził proboszcz miejscowy, dodając:

— Pokażę panu grób tego, który to sprawił.

— Więc ów pasterz gromadzki?

— Umarł przed rokiem, a ten oto piękny krzyż, który niedawno na mogile szlachetnego człowieka poświęciłem, ufundowała mu gromada wdzięcznych Wólczan.

Napis na krzyżu: »Naszemu oświecicielowi«.

Dzielny i szlachetny ten człowiek, nazwiskiem Piotr Banasiuk, mimo prześladowań rządu rosyjskiego za nauczanie po polsku na Podlasiu, przez dwadzieścia kilka lat wytrwale pracował nad ludem, by go oświecić. Niczego za to nie żądał od niego, przyświecała mu w pracy tylko miłość ludu, pragnienie jego dobra. Cześć pamięci nieznanego pracownika na niwie oświaty!

Koło polskie.

Obecne Koło polskie, dzięki temu, że w znacznej liczbie składa się z bardzo wykształconych ludzi, którzy gruntownie znają potrzeby kraju oraz umieją prowadzić politykę tak, aby jak najwięcej dla kraju osiągnąć korzyści, jest, bez przechwałki powiedzieć można, najpoważniejszym klubem w parlamencie wiedeńskim. Zanim parlament zaczął obrady, już prezydent ministrów br. Gautsch zapewniał o swej życzliwości dla Galicyi i kładł wielki nacisk na to, jak bardzo mu zależy na dobrych stosunkach z Kołem polskiem. To też już w mowie tronowej (układanej jak wiadomo przez ministrów) był ustęp o budowie kanału w Galicyi, a wiadomo, że za poprzedniego Koła sprawa ta, tak dla kraju naszego doniosła, była prawie że pogrzebaną.

Dnia 27 lipca odbyło Koło polskie posiedzenie, na którem roztrząsano kilka spraw wielkiej doniosłości. Obecny na posiedzeniu minister dla Galicyi Zaleski zapewnił, że rząd obecny będzie się starał sprawę budowy kanałów załatwić w duchu życzeń kraju i w porozumieniu z Kołem, wskazując na odnośny ustęp mowy tronowej i na zapewnienia dane przez prezydenta gabinetu prezesowi Koła. Następnie omawiał minister konieczność uregulowania emigracyi, uzdrowienia finansów krajowych i wogóle potrzebę planowej pracy około gospodarczego podniesienia kraju.

Oprócz składu Koła polskiego przyczynia się w wielkiej mierze do powodzenia przyszłej polityki Koła i osoba ministra Zaleskiego, szczerze oddanego pracy dla dobra kraju, a człowieka pełnego energii i wielkich zdolności. Znakomity namiestnik Galicyi Bobrzyński, cieszący się tak zaufaniem Koła, jak znaczeniem u rządu wiedeńskiego, powaga zasłużonego i cenionego wysoko marszałka kraju Stanisława Badeniego dają nadto rękojmię, że w rozpoczętej sesyi Rady państwa, jeśli spory Niemców i Czechów nie będą przeszkadzały jej w pracy, nasz kraj wiele zyskać może dobrego i wiele jego potrzeb znajdzie zaspokojenie.

Ważne to posiedzenie Koła polskiego z dnia 27 lipca zakończyło się rezolucyą, w której Koło oświadcza, że trwa przy dawnej wypróbowanej polityce polskiej w Wiedniu, wyraża gotowość popierania rządu, jeżeli ten zobowiąże się uszanować narodowe prawa i autonomiczne zasady kraju i zaspokoić przedstawione mu bardzo naglące potrzeby kraju, zwłaszcza zaś rozpocznie budowę kanału między Krakowem a granicą śląską na przestrzeni Zator-Samborek w r. 1911, a budowę kanału od Wisły do Dniestru zabezpieczy w terminie wspólnie ustanowić się mającym. Za naglącą uważa Koło także uzdrowienie finansów krajowych i budowę kolei lokalnych. Dla skutecznej służby około dobra kraju niezbędnie jest potrzebne przy niezamąconej zgodzie Koła z Sejmem krajowym trwałe współdziałanie ministra dla Galicyi, namiestnika i marszałka. Mężom tym wyraża Koło pełne zaufanie, mając niezachwiane przekonanie, że zaufanie Koła do namiestnika, ministra dla Galicyi i marszałka i zgodne z nimi współdziałanie umożliwi uregulowanie stosunków polsko-ruskich w kraju i spełnienie potrzeb uzasadnionych ludności. A niestety, potrzeb tych jest bardzo wiele. Braki odczuwać się dają boleśnie na różnych polach, tak w rolnictwie jak handlu, przemyśle, rolnictwie. Lata poprzednie, w znacznej części zmarnowane na walki wewnętrzne, obecne Koło odrobić musi tem energiczniejszą pracą.

WYPRAWA KOZACKA DNIEPREM NA TURKÓW.



Na swoich łodziach zwanych »czajkami« jechali za czasów polskich Kozacy zaporożcy, z muzyką grającą na łodzi dowódcy, Atamana. Wojna była dla tych dzikich rozbójników najmilszem zajęciem, tam zdobywali bogactwa i sławę dzielnych »mołojców«.



Nas prefesur bez całe wagacyje to ni ma duzo roboty. Dziecka porozpuscał po cały wsi, zamknął budę i teraz sam jest jak jaki chrabia abo okomon. Roboty ni ma wiele, bo i przy cem, kiedy całe swoje pole na syrokość i na długość toby odrazu przeskocył. Latego tez dzień abo dwa w tygodniu przypilnuje roboty a potem chodzi se tu i tam. Zrana idzie do kościoła, aby po msy jegomości przywitać, a potem to róznie. Casem idzie poźryć nad rzykę, jak dziwki chusty pierą, abo bierze fuzyję i po polach strasy ptaki.

Dopiro jak przyjdzie niedziela ma prefesur uciechę, bo przychodzi do mnie i gadamy se, gadamy.

Z gospodarzem to ino cięgiem bajdurzą o polityce, co moją gospodynię okrutecnie gniwa, bo powiadają, ze polityka to taka ciuciubabka, o której ani myśleć nie warta. Bez to ten prefesur cięgiem jem docina i śpasuje.

W tamtę niedzielę chciał dokucyć gospodyni i pyta się mnie:

— Maciek, a widziałeś ty jaką niewiastę, coby odrazu była i ładna i dobra i mądra?

Ze ja się to przecie, jako kawalir, na babach nie znam, tom ni móg odrazu odpedzieć. Zacąłem myśleć i myśleć, ale ani rus było co wymyśleć, bo nase dzieuchy wsiowskie, jak która ładna to niedobra, a jak dobra, to niemądra. Przysły mi na myśl te z durkarni, ale jak która z nich miała gębę śwarną, to reśta była do nicego, a jak reśta jaka taka, to gęba, o joj!

Padam tez do prefesura otwarcie:

— Nie, taki kobity jesce Pan Bóg nie stworzył i chyba nie stworzy. A pan cy widział taką?

— O jej — pada prefesur — widziałem — na obrazku. Na obrazach to tak malarze gębę wyrychtują, ze palce lizać. A kuzda dobra, bo na nikogo z gębą nie siędzie a i mądra być musi, kiedy ją malarze malują.

Poznałem zaraz, ze prefesur ino na figle tak mówi i na to, zeby gospodyni dokucyć. I naprawdę tak było, bo gospodyni zaraz wsiedli na niego, ze zaraz ucich i bez dwie minuty gęby nie otwar.

Z przymówki uśmiali się gospodarz i padają:

— Zart zartem, ale to powinno być u wszyćkich ludzi jedyną oznaką babskiej wartości, cy ona ma dusę ładną i rozum wielgi, bo gęba na starość spaskudnieje, a po śmierci chrobaki zjedzą.

Mnie to gadanie gospodarza słusnem się wydawało i zaraz mi Kaśka na myśl przysła, a także prefesur co trocha kiwał głową. Ale kto na tem świecie babie dogodzi! Ino to gospodarz pedzieli, tak zaraz gospodyni wsiedli na nich z jęzorem,ześmy cem tchu wsyscy trzech dali drapaka pod starą lipę, aby nam usy nie poodpadały.

Takie pogadanki z prefesurem to ja okropnie lubię, bo człek nietylko ze się uśmieje, jaz bandzioch boli, ale przytem i co nieco się naucy, a nauka kuzdemu jest potrzebna, choćby on był nie wiem jak mądry. A trzeba wiedzieć, ze nieraz w śmiskach lepsą prawdę się powie, jak w porządnej mowie.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

V. Dziwna kolacya.

Kiedy obudziłem się, robił się już mrok szary, tylko od zachodu krwawiło się kilka chmurek i od nich szedł blask jeszcze. Zerwałem się na równe nogi po śnie długim i ciężkim, w którym plątały mi się w najdziwaczniejsze rzeczy; zmarła sułtanka, Hiszpan, Julia i mój wachmistrz. Spojrzałem na zegarek — była już godzina dziewiąta — spałem więc przeszło sześć godzin. Zły byłem ogromnie, huknąłem więc na ordynansa, chłopaka młodego, warszawiaka, którego wzięto do wojska dopiero w przeszłym roku. Sprytny to był hultaj, do zabawy, kieliszka i spódniczki jedyny. Lubiłem go jednak, bo był zręczny i przywiązany do mnie. Nazywał się Antoni Mrukowski.

— Czemuś mię, hultaju, nie obudził, jak kazałem, na obiad?

— Panie poruczniku, panna Marya przysłała do mnie kamerdynera prosząc, żebym tego nie robił, że pan porucznik jest zmęczony, potrzebuje wypoczynku, że oni obiad zostawią. Zawołała mię nawet do siebie i to samo mi powiedziała, a także ten pan regimentarz, dyabli wiedzą co to znaczy takie nazwisko. Czy mam podać mundur?

Ubrałem się co żywo i zeszedłem na dół. Zastałem całe towarzystwo siedzące przy kolacyi, przy otwartych oknach. Stary regimentarz zaraz z progu mnie przywitał.

— No, mości panie, wyspałeś się, hę! siadajże proszę ja ciebie i jedz, boś zapewne głodny.

Hiszpan był także i siedział koło cioci, z którą coś szeptał.

— Ho! ho! mociumdzieju — gadał dalej regimentarz, gdym siadł do zrazów — znam ja to, znam. Wojowało się jeszcze ongi, a nasza wojna, to nie była taka wygodna jako dziś. Dziś maszerujecie dzień, a dwa wylegasz się pod pierzyną... ano, inne czasy, inni ludzie...

Stary nie jadł nic, tylko siedział na uboczu nieco i popijał z dużej, omszonej butelki miód, który widocznie był dobry, bo regimentarz zarumieniony był nieco.

— Mociumdzieju, ja przecie raz, jako mię widzisz, nie spałem cały miesiąc, ale to caluteńki, jako orzech zgryzł...

— Oh! panie regimentarzu — przerwie markiz z uśmiechem — to jest bardzo możliwe; zresztą konfederacya Barska, której dziejów, jako cudzoziemiec, dobrze nie znam, ale mam o niej na tyle przynajmniej pojęcia, że wiem, iż to była wojna olbrzymów...

— No, no, markizie mociumdzieju, he! he! he! — zaśmiał się regimentarz — olbrzymów jak olbrzymów, ale żeśmy tęgo trzepali, to pewna i o skórę własną niewiele się dbało.

— Mój panie bracie — rzeknie na to z krygami ciotka — jakeście się tam bili, tego nie wiem, bo mnie to, jako należącą do płci nadobnej, nie interesuje i zresztą zawsze mdleję, wielekroć jest mowa o wojnie, ale wiem, że król jegomość,*) u którego na dworze bywałam, mówił o tych tam konfederatach jako o buntownikach... Markizie, podaj mi chusteczkę.

*) Król Stanisław August, przeciw któremu zwrócona była Konfederacya Barska.

Stary zaczerwienił się cały, uderzył w stół pięścią aż wszystkie szklanki zabrzęczały, porwał się na nogi i krzyknął.

— Kroć sto tysięcy, panno Antonino!

— Oh! mój Boże — zawołała ciocia — on mię nazywa Antoniną, przecież ja nie jestem żadną Antoniną tylko Antoanettą!... panie markizie, milfleru, milfleru!...*)

I poczęła mdleć, przymknąwszy oczy. Skoczył markiz i załamując rozpaczliwie ręce, zawołał tragicznym głosem.

— Regimentarzu, jesteś okrutny!

A regimentarz trząsł się cały i mówił:

— Buntownicy! rycerze barscy buntownicy, ej, do stu tysięcy fur beczek...

Ale już panna Julia stała przy nim i białą rączką zakrywając mu usta, szeptała:

— Dziaduniu, drogi dziaduniu uspokój się — proszę cię o to.

Pod tą aksamitną rączką regimentarz miękł, jak wosk, uśmiechnął się naprzód do Julci, usiadł, sapnął potężnie i przyciągnąwszy lekko dziewczkę do siebie, pocałował ją w czoło, mówiąc:

— No dobrze, dobrze — jestem spokojny, mój klejnociku — siadam już siadam, idź do ciotki, niech przestanie mdleć, mociumdzieju... myślałem, że już zapomniała w tym wieku o mdłościach.

A gdy panna Julia pobiegła do ciotki, zwrócił się do mnie i wskazując ręką na mdlejącą ciotkę, rzekł cicho:

— Oto masz, mociumdzieju, z babami, bodaj to dyabli wzięli!

I wypił duszkiem szklankę miodu. Ja wstałem także i zbliżyłem się ku grupie, otaczającej przychodzącą już do siebie ciotkę, pod pozorem niesienia ratunku, a właściwie celem dowiedzenia się, jakie herby są na guzikach Hiszpana. Stanąłem tuż przy nim i przekonałem się o prawdzie moich podejrzeń; co większa, spostrzegłem, że u fraka brak jednego guzika, czego oczywiście markiz nie zauważył. Gdym już nabył tego przekonania, że byłem szpiegowany dziś rano, dziwne myśli poczęły mi przychodzić do głowy; stałem nieruchomy, zapomniawszy o wszystkiem. Obudził mię dopiero głos regimentarza.

— Mości poruczniku, najadłeś się, to dobrze, mociumdzieju, ale kto jeno je a nie pije, ten może słabować, proszę cię, siadajże, napijemy się.

Siadłem więc przy starcu, który mi przysunął szklankę i nalał miodu.

— Obacz no jeno pod światło, jaki to kolor ma ten miodek — o, widzisz... złoto, mociumdzieju, złoto roztopione, a czysty jako kryształ — mówię ci, nie żal gęby... powąchaj, a cóż, dobry?

W istocie miód był wyborny, stary, gęsty, jak ulep.

— Przedni, powiadam ci... ho! ho! ho! mociumdzieju, ten miód ma tyle lat co ja, a jam też nie smarkacz. Sycił go rodzic mój, kiedym się rodził...

*) Pachnidło francuskie.



...stary zdrzemnął się...

Mówił to, pijąc szklankę za szklanką i czerwony był na twarzy jak burak.

— Przeszłego roku, jak była wojna, zajechał tu do mnie jakiś jenerał austryacki; bestya gruba jako fasa, a wino pił jak gąbka. Rzeknę ja tedy sobie mociumdzieju: czekaj pludrze, kiedyś ty taki, dam ja ci, winem cię spoić nie mogę, ale zobaczymy, czy twój łeb niemiecki zdzierży stary miód polski. Bogiem a prawdą, żal mi było takiego przedniego specyału dla rakuskiej gęby, ale pal cię dyabli — wypił, mociumdzieju, jednę butelkę — nic, wypił drugą, ehe! jenerał plecie już koszałki opałki; wypił połowę i rznął się na ziemię, jako trup...

Nagle panna Marya rzeknie głośno do ciotki, która tymczasem przyszła do siebie:

— Może przejdziemy, ciociu, na ganek, tam chłodniej.

— Tak, tak — zawoła Hiszpan — lekki zefirek wieczorny, niosący w sobie woń róż rozkwitłych, uspokoi wzburzone nerwy twoje, pani... posłuchaj wybornej rady panny Maryi i chodźmy.

Wyszli wszyscy, a ja zostałem sam z regimentarzem, który coraz więcej pił i język starowinie począł się plątać.

— O czemże ja to gadałem, hę? — spytał.

— O jenerale austryackim, co się spił.

— A, o jenerale, aha!... Ano cóż spiła się bestya, padł na ziemię i trup, mociumdzieju, ani ręką ani nóżką... Źle, myślę sobie, tak nic z nim nie zrobię, trzeba go nieco otrzeźwić. Wołam tedy Łukawskiego, mociumdzieju, a noc już była i zimno, bo to było, jak wiesz, w kwietniu, który był chłodny i nocami brały przymrozki. Rzeknę więc do Łukawskiego: rozbierzmy tego pludra do naga. Rozebraliśmy go i tak jak go matka urodziła, wynieśliśmy, mociumdzieju, na dziedziniec pod studnię.... A cóż, nie pijesz? napij się, napij, tobie nie żałuję, boś ty nie jenerał rakuski, pijże, mociumdzieju.

Wypiłem trochę, a regimentarz swoim zwyczajem kropnął odrazu pół szklanki. Widocznie zirytowany był słowami ciotki i uniesieniem się swojem, boć przecie tak codzień nie mógł pić i w istocie nie pił, jak się później przekonałem. Co do mnie, słuchałbym chętnie tej historyi o austryackim jenerale, gdyby nie szafirowe oczęta panny Julii, które miały większy urok dla mnie, niż wszyscy jenerałowie.

— Położyliśmy tedy tę bryłę sadła pod studnię i dalejże, mociumdzieju, lać na niego wodę — lejemy, jak nic poszło dziesięć wiader. No i siadł, oprzytomniał trochę. Dalej do komnaty, masz skrypt, podpisuj... przygotowany już był przezemnie wcześniej, jako nic nie wie o żadnych pandurach *) mociumdzieju... podpisał.. odetchnąłem... i Hiszpan też, Hiszpan... bo to on pandury... wąwóz...

Stary spuścił nagle głowę i zdrzemnął się.

Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. O jakim skrypcie i pandurach mówi ten starzec? Coś w tem jest, ile że i Hiszpan do tego należy. Widocznie coś

*) Pandurami zwał się rodzaj wojska węgierskiego.

ważnego, kiedy tak chodziło regimentarzowi o podpis owego jenerała na skrypcie, ale co mnie do tego? jakiem prawem korzystam ze słabości starca i wywiaduję się o jego tajemnicach? Kiedy tak myślę, regimentarz zbudził się.

— A co, nie pijesz? kiep jesteś kiedy nie pijesz takiego specyału, jako ten miód, mociumdzieju, pijże, pij..

I machnąwszy ręką, rzeknie:

— Ja ci powiem, że mi już kością w gardle stoi ten rubin wezyrski!... ehe! Hiszpan... Hiszpan to bestya kuta na cztery nogi!

W tej chwili ujrzałem we drzwiach głowę Hiszpana, popatrzył i zniknął. Regimentarz tymczasem począł nucić jakąś pieśń dziwnie smutną, monotonną może nieco, której wyrazów uchwycić nie mogłem, ale która wśród cichego, letniego wieczoru, nucona drżącym głosem tego wiekowego starca, nabierała nieokreślonego uroku — rzekłbyś łkanie serdeczne. W tym stanie umysłu, w jakim wówczas byłem, pieśń ta, śpiewana chrapliwie, głosem, który szedł z głębi piersi, drżał i zdało się lada chwila skona, robiła na mnie wrażenie tak silne, że pamiętam jej nutę do dziś dnia, jakbym ją wczoraj słyszał. Siedziałem nieruchomy, skamieniały, nie śmiejąc się ruszyć, by nie spłoszyć z ust regimentarza tej nuty żałosnej, by nie stracić najmniejszego jej tonu. Starzec śpiewał coraz ciszej, ciszej, aż wkońcu urwał, oparł głowę na krześle i zasnął.

Przerwała to moje zasłuchanie się panna Marya, która żwawo weszła do pokoju, niespokojna jakaś, podbiegła do starca, spojrzała na mnie badawczo i z pewnym wyrzutem i rzekła:

— Pan daruje, ale dziadunio rano wstaje, więc jest znużony... powinien spać. Każę go przenieść...

— Niech pani będzie pewna, że nie moja wina w tem — odezwałem się, wstając.

— O! ja też nie mam urazy do pana... może pan przejdzie na taras.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WIECZÓR LETNI.

Słońce łukiem świetlanym przebiegło po niebie
I gdzieś na krańcach ziemi do snu kłaść się zdawa;
Łono ziemi z spiekoty dysząc, chłonie w siebie,
Ożywcze wiatru tchnienie, co z zmrokiem nastawa.

Od świątnicy na wzgórzu głos dzwonu w dal płynie,
Na Anioł Pański wzywa — wnet żeńców gromada,
Prastary, ojców swoich zwyczaj pomnąc ninie
Ku czci Niebios Królowej dzięk serdeczny składa.

W cichym szepcie modlitwy, co prostemi słowy
Przedstawia Słowa Ciało, a w swojej prostocie
Łacniej trafia do duszy i przed tron Jehowy
Kędyś w cudu krainie. — W promiennej ozłocie

Gasnących zorzy blasków, błyszczą okien rzędy,
Jakby wojska szeregi podczas defilady;
Wreszcie noc skrzydła swoje rozpościera wszędy
I gwarne milknie życie. — Czasem tylko blady

Księżyc swem tępem okiem z poza chmur osłony
Wyjrzy na swoich ciekawie, by się znowu schować —
Snać staruszek wędrówką w przestworzach znurzony,
Drzemiąc śni bajki przecudne, a snu nie chce psować,

By słuchać jak świerszcz polny pośród ścierni kwili,
Lub widzieć jak nietoperz leży w swej siedzibie,
Opuściwszy — to wzlata, to się znowu chybi,
Jakie harce wyprawia, kiedy na żer dybie?

Masz patrzeć na robaczków świętojańskich drgania,
Jak błyski fosforyczne sieją pośród ciemni?
Ho — kiej niebios mieszkaniec tak się do snu skłania
To chodźmyż i my spocząć, my mieszkańcy ziemi.

Antoni Kościelny.

Z TYGODNIA.

Włościanie polscy z Bośni w Wiedniu. Dnia 27 lipca deputacya włościan polskich z Bośni przybyła do Wiednia i prowadzona przez posłów Lasockiego i Reya, przyjęta została przez ministra dla Galicyi Zaleskiego. Deputacya przedstawiła, że 4000 polskich włościan w Bośni od czasu zaprowadzenia tam konstytucyi doznało znacznej szkody na polu oświatowem i religijnem, albowiem udzielana dotąd na polskie szkoły subwencya została przez rząd krajowy i większość chorwacko-serbską cofnięta. Chłopi polscy chcą przeto sprzedać swoje grunta i udać się do Galicyi. Minister Zaleski przestrzegł ich przed temi zamiarami, bo musieliby w danym razie sprzedać grunta za marne pieniądze. Minister przyrzekł, że uczyni co tylko będzie w jego mocy, aby oświatowym i religijnym potrzebom polskiego włościaństwa w Bośni stało się zadość. Jeden z członków deputacyi p. Rochaczek udał się przez Kraków w okolice Tarnopola, aby poznać stosunki rolne.

Józef Kościelski, ogromnie wykształcony obywatel wielkopolski, członek pruskiej Izby panów, zmarł w swoim majątku pod Poznaniem. Ś. p. Kościelski, bardzo bogaty człowiek, był przez jakiś czas przyjacielem cesarza Wilhelma i starał się wpływać na niego, aby rząd pruski nie uciskał Polaków. Gdy widział, że nic u cesarza nie wskóra, usunął się od niego, wyjechał z Berlina i osiadł u siebie na wsi, gdzie pisał książki i gospodarował na swoich 20.000 morgów. Świadczył wiele dobrego ludziom i popierał walczące z niemczyzną stowarzyszenia polskie.

Prześladowanie księży na Litwie. Gubernator miński skazał ks. Michała Majewskiego, proboszcza złotogórskiego, na 300 rubli kary lub dwa miesiące aresztu za to, że ks. Majewski w czasie procesyi Bożego Ciała zwrócił się do jednego z policyantów, który szedł obok Najświętszego Sakramentu w czapce, aby głowę obnażył. Ponieważ policyant nie posłuchał, ks. M. odwołał się do towarzyszącego policyi podoficera Budakowskiego, który oświadczył jednak, że policya delegowana do utrzymania porządku, nie ma prawa czapek zdejmować. Ks. Majewski pragnął tę sprawę przedstawić osobiście gubernatorowi, ale go nie dopuszczono do gubernatora i oświadczono w policyi, że jeżeli niezwłocznie nie zapłaci 300 rubli, to zostanie aresztowany. Wobec tego ks. M. zmuszony był zapłacić karę. Takie prześladowanie księży katolickich jest na Litwie na porządku dziennym.

Z Portugalii. Jak wiadomo w Portugalii istnieje obecnie rzeczpospolita, powstała dzięki spiskowi wojskowemu. Rządy rzeczypospolitej rozpoczęły się od prześladowania religii katolickiej, wypędzania zakonników, zagrabiania majątków klasztornych, a odznaczały się nieubłaganą srogością wobec tych obywateli, którzy żądali prawdziwej wolności w państwie, z którego wypędzono króla, jako »tyrana«. Znaczna część Portugalczyków wolałaby dzisiaj widzieć na tronie króla, niż używać »wolności« pod obecnymi rządami. To też rozgałęził się już szeroko spisek, mający na celu obalenie rzeczypospolitej a osadzenie z powrotem na tronie wypędzonego króla Manuela. Podobno sam król Manuel kieruje osobiście działaniami spiskowców monarchistycznych. Miał on oświadczyć, że sam stanie na czele wojsk. Liczbę ich szacują na 10.000. Obłożenie aresztem broni zapobiegło wcześniejszemu wybuchowi powstania. Podobno król Manuel dwie trzecie swego majątku oddał na cele odbudowania monarchii.

KRONIKA.

Upały, które z końcem lipca nawiedziły całą Europę środkową, powodując wiele wypadków śmierci z powodu udaru słonecznego w. miastach, wypalając trawy i zboża po wsiach, spowodowały również szereg pożarów w naszym kraju. Donoszą mianowicie o znacznym pożarze we wsi Surmaczówce koło Jarosławia, w Czernelicy w powiecie horodeńskim, wreszcie o pożarze 18 chat i 16 stodół w Skawcach.

Pożary od pioruna. Z Królestwa donoszą, że w wielu wsiach w okolicy miasta Łodzi pioruny wywołały pożary domów mieszkalnych i stodół napełnionych zbożem tegorocznego zbioru. Poszkodowani są wyłącznie włościanie.

Zbiory owoców z powodu upałów zapowiadają się niepomyślnie. Szczególniej jabłka opadają już przed dojrzeniem, natomiast zbiory gruszek i śliwek mają być obfitsze.

(M. T.) **Śmierć dzieci w pożarze.** W Jaworniku polskim pod Rzeszowem wybuchł 27 lipca pożar w domu gospodarza Józefa Piątka. Gospodarz ów wyjechał w pole zwozić zboże dla sąsiada, żona zaś jego wyszła do karczmy na zakupno, w karczmie bowiem był i sklep. W domu zostało troje dzieci: dwu-, cztero- i sześcioletnie. Jedno z dzieci wzięło zapałki i podpaliło snopki słomiane, które leżały koło domu. Ponieważ panuje wielka posucha od dni kilku, a dach na chacie był słomiany, przeto ogień w mgnieniu oka objął dach całej chaty. Najstarszy chłopiec widząc co się dzieje, porwał młodszego, dwuletniego, który leżał w kołysce we wnętrzu domu i począł z nim uciekać, pozostawiając w kołysce najmłodszego. Ten jednak czteroletni, słysząc płacz najmłodszego, wrócił po niego, lecz nie zdołał już ujść, bo nad sienią nie było powały i obaj zginęli w ogniu, bo z dachu na sień już ogień padał. Spaliły się również dwie krowy wartości 600 koron i świnia wartości 80 kor., ponadto wszystkie sprzęty gospodarskie, bo o ratunku nie było mowy z braku sikawki i wody. Nadmienić należy, że dwie związane prawie ze sobą gminy, Jawornik miasto i przedmieście, nie posiadają ani sikawki, ani przyborów pożarnych, mimo tego, że gorliwie chciałaby pracować codopiero z braku przyborów strażackich rozwiązana ochotnicza straż. Zapytujemy przeto, czy Urząd gminny, po takiem nieszczęściu, zakupi wreszcie sikawkę ogniową, czy też mamy się udać do władz? Nareszcie wstyd, by miasto nie posiadało ani straży ogniowej, ani przyborów pożarnych!

Cudowne ocalenie. Kilkunastomiesięczny synek budnika kolejowego koło Tarnopola, ledwie zaczynający chodzić, bawił się leżąc między szynami, gdy nadjechał pociąg. Dziecko przestraszone łoskotem i hukiem zbliżającej się maszyny, oniemiało i nie ruszyło się z miejsca, temu też zawdzięcza swoje ocalenie. Dopiero gdy trzeci wóz przeszedł, chciało uciekać, wsparło się rączką o szynę i wystawiło główkę. W tej sekundzie jednak pociąg stanął, gdyż maszynista ujrzał dziecko zapóźno, aby mógł wstrzymać lokomotywę choć o pare kroków przed niem. Dziecko, oprócz lekkich obrażeń, nie poniosło szwanku. Prawdziwie cudem ocalało.

Dziecko zasypane gliną. W gminie Podborcach, powiatu lwowskiego, bawił się 7 letni Dmytro Romańczuk z 6 letnim Andrzejem Drozdem i 5-letnim Andrzejem Bryzdeniem w miejscu, z którego mieszkańcy Podborzec kopią glinę na budowę. — W czasie zabawy, z powodu deszczów usunęła się z rozmokłego brzegu ściana szerokości dwóch metrów i zasypała na śmierć Dmytra Romańczuka. Dwaj inni chłopcy uszli z życiem.

Maleńka matka dużego dziecka. W Czerniowcach, na Bukowinie, była bardzo niska dziewczyna, uboga i pracowita, nazwiskiem Janina Bloch. — Mimo swego niedużego wzrostu spodobała się pewnemu czeladnikowi krawieckiemu i licząc 25 lat zawarła z nim małżeństwo. Mąż umarł po paru miesiącach, a mała wdowa, czując że zostanie matką, udała się do Wiednia do lekarzy. Ci orzekli, że stan jej jest bardzo niekorzystny, że dziecko jest wprawdzie dobrze rozwinięte, ale w tem położeniu, że trzeba się uciec do operacyi, która bezwarunkowo skończyć się musi śmiercią dziecka.

Wtedy karliczka poczęła zaklinać lekarzy, aby przedsięwzięli taką operacyę, iżby ona raczej zginęła a dziecko zostało uratowane. Lekarze, wzruszeni jej prośbami i miłością matczyną, zdecydowali się na bardzo niebezpieczną operacyę, która się jednakże w zupełności udała i matka z dzieckiem już po 10 dniach mogli zdrowi opuścić szpital.



Ale z tą chwilą nasunęła się nowa trudność. Biedna kobietka była bez najmniejszych środków utrzymania. Oddano ją zatem do miejskiego domu schronienia dla ubogich, gdzie znalazła gościnne i serdeczne przyjęcie, a oddana swym obowiązkom macierzyńskim, pielęgnując swego malca i karmiąc go własnemi piersiami, mimo smutnego położenia, czuje się szczęśliwa. Obrazeki nasze przedstawiają tę maleńką matkę obok swego dziecka.

Skutki przesądu. Pewnemu gospodarzowi we wsi Blinowie w Królestwie, chorowały gąsięta. Powiedziano mu, że trzeba je mocno okadzić, to wyzdrowieją. Kupił więc ów gospodarz funt prochu, wziął na denko żaru i zawoławszy żonę i córkę do pomocy, zabrał się do okadzania gąsiąt. Żonie dał do trzymania denko z węglami, a córce kazał potrzymać gęsiaka. Sam zaś wziął butelkę z prochem i zaczął go z wysoka sypać. Ale póty tylko było tego kadzenia, póki proch nie dosięgnął do węgli, bo jak tylko kilka ziarnek ogniem się zajęło, jednocześnie też wybuchł wszystek proch w butelce. Od strasznego huku aż okna powylatywały, a ludzie popadali zemdleni na ziemię. Matka i córka szczęśliwie uniknęły kalectwa, ojcu siła wybuchu oderwała wielki palec u ręki.

Ciemnota wśród żydów. W jednym ze szpitali warszawskich zmarł 21-letni Abram Klein, ugodzony spadającą z dachu cegłą w głowę. Po zgonie lekarze, zgodnie z wymaganiami obdukcyi sądowo-lekarskiej dokonali sekcyi zwłok, uzyskawszy jednak na to zezwolenie od ojca nieboszczyka, który tem chętniej udzielił swego zezwolenia, gdyż protokół sekcyi posłuży mu do wytoczenia procesu winnym nieszczęśliwemu wypadkowi. Nie podobało się to licznemu gronu ciemnych żydów, którzy przybywszy tłumnie do zwłok i przekonawszy się, iż była dokonana sekcya z zezwolenia ojca, rzucili się na niego i zaczęli go bić niemiłosiernie. Przybył silny oddział policyi, który wyparł tłum z podwórza szpitala i ulicy.

Zgon na kazalnicy. Podczas niedzielnego nabożeństwa dnia 23 lipca zmarł w kościele w Bruzowicach, na Śląsku austryackim, na kazalnicy podczas kazania ks. Antoni Polednik, proboszcz z Racimowa. Śmierć nastąpiła z powodu udaru sercowego i wywołała przejmujące wrażenie w zapełnionym kościele.

Śmierć dziecka w płomieniach. W Sulmierzycach, w Poznańskiem, straszną śmiercią zakończyła życie 9-letnia córeczka kierownika lokomotywy Bunkego. Dziewczynka spełniała drobniejsze posługi u dzierżawcy cegielni, gdzie polecono jej rozniecić ogień w kuchence. Ponieważ ogień nie chciał się rozpalić, posłużyła się bańką z naftą. Nagle wybuchnął płomień i objął suknie dziewczynki. Jakkolwiek niebawem stłumiono na niej płomienie, odniosła biedna dziewczynka tak straszne poparzenia, że po dwóch godzinach wyzionęła ducha wśród strasznych męczarni.

Ciekawy „kawaler“. Policya w Bydgoszczy, w Poznańskiem, miała niedawno do czynienia z niezwykłym kawalerem i »narzeczonym« naraz wielu dziewcząt, nazwiskiem Piske. Po aresztowaniu mniemanego kawalera, który obietnicą małżeństwa naciągnął wiele służących na różne kwoty, przekonano się w policyi, że aresztowany jest kobietą, nazwiskiem Marta Piske. Przedsiębiorcza ta osoba korzystając z tego, że rysy jej twarzy podobne były do męskich, przebrała się za mężczyznę i udając kawalera, pragnącego się ożenić, zawierała potajemnie stosunki z różnemi młodemi służącemi i pracującemi pannami, wyłudzając od każdej na przygotowania ślubne zebrane oszczędności.

Sto domów spalonych od słoniny. We wsi Chwałkowo, w Poznańskiem, wybuchł wielki pożar, spowodowany, jak się okazuje, nieostrożnością. Pewna kobieta smarzyła słoninę, która się zapaliła na patelni. Chcąc ratować mieszkanie, wylała oknem palący się tłuszcz, od którego powstał pożar. Spaliło się około 100 zabudowań i wiele drobiu.

Przestroga. Córka pewnego murarza wiejskiego w Poznańskiem najadła się czereśni i później napiła się piwa. Krótko potem uczuła okropne boleści i pomimo natychmiastowej pomocy lekarskiej następnego dnia zmarła. Podobny wypadek, lecz w skutkach mniej niebezpieczny, zaszedł także w mieście Szamotułach. Tam zachorował poważnie również po spożyciu czereśni pewien obywatel, który ocalenie swe zawdzięcza jedynie natychmiastowej pomocy lekarza miejscowego. Te i tym podobne wypadki powinny służyć za przestrogę, by po spożyciu owocu wystrzegano się picia wody lub też innych zimnych napojów.

Niedorzeczne junactwo. W pewnej destylarni w Gnieźnie zabawiało się niedawno kilku robotników podnoszeniem pełnych beczek piwa, aby pokazać swą siłę. Robotnik Stanisław Szczęsny stracił przytem równowagę, padł na ziemię a beczka pokaleczyła go ciężko na twarzy, szczękę mu złamała i nos zmiażdżyła. Oto są skutki niedorzecznego przechwalania się swoją siłą.

Rozszarpany przez granat. Zamieszkały w Suchym Lesie pod Poznaniem robotnik Hanciak znalazł podczas sianokosu na polu ćwiczeń wojskowych w Biedrusku pod Poznaniem niewystrzelony granat. Nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa posiadania pocisku, zaniósł go do domu i próbował wyjąć zeń nabój. W tym celu, siedząc na stołku, wziął granat między kolana i nożem »majstrował« koło zapalnika. W tej chwili granat pękł z przerażającym hukiem, kalecząc w straszny sposób Hanciaka. Gdy na huk przybiegła żona jego, ujrzała go w potokach krwi na ziemi, wydającego przejmujące jęki. Z brzucha robotnika wychodziły wnętrzności: oprócz innych obrażeń miał nieszczęśliwy urwaną lewą rękę. Część granatu wyrwała kawał ściany i wyleciała na dwór. Ciężko rannego Hanciaka przewieziono do lazaretu, gdzie zmarł wśród strasznych męczarni. Nieszczęśliwy osierocił młodą żonę, z którą żył dopiero dwa miesiące.

Wielki pożar kolejowy w Wiedniu. Dnia 27 lipca wieczorem w magazynach kolei północnej w Wiedniu wybuchł olbrzymi pożar, który szybko się rozszerzył. Płomienie na kilkaset metrów wysokości widziane były w całem mieście. 60.000 ludzi otoczyło gmach dworca północnego. Pożar wybuchł w magazynach drzewa. Ogień podłożył wydalony robotnik, polawszy naftą wyschnięte na upale drzewo i podpaliwszy je zapałką. Do godziny 1 w nocy pracowały straże pożarne wiedeńskie i wojsko, zanim ogień umiejscowiły, nie dopuszczając do dalszego szerzenia się. Szkody są olbrzymie, obliczają je na kilka milionów koron. Sprawność straży pożarnych i wojska ocaliły stolicę Austryi od ogromnej katastrofy; przy upale bowiem, a bez mądrze prowadzonego ratunku mogłoby pół miasta pójść z dymem.

Niezwykły ratunek. W miejscowości Brigittenau pod Wiedniem, wybuchł pożar w mieszkaniu pewnego robotnika na trzeciem piętrze. Przyczyną była zapewne zabawa zapałkami zostawionych pod nieobecność rodziców dzieci. Gdy sąsiedzi posłyszeli płacz i wołanie o ratunek dzieci zamkniętych w mieszkaniu, chcąc je ratować, próbowali wyważyć drzwi. Ale drzwi były mocne, rozewrzeć się nie chciały, a w pokoju płomienie i dym stawały się coraz groźniejsze, płacz zaś dzieci coraz rozpaczliwszym.



Wobec tego jeden z sąsiadów, młody ślusarz, Palan, nie namyślając się wcale, przeszedł po gzymsie trzeciego piętra do okna nieszczęśliwych i po kolei wydobył tą drogą troje dzieci, któreby inaczej z pewnością stały się pastwą płomieni. Wybijając szybę okna, aby się dostać do środka, Palan pokaleczył się dotkliwie, nic jednak na upływ krwi nie zważając, dokonał pięknego czynu, narażając własne życie dla uratowania dzieci sąsiada. — Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy Palan ratując jedno z dzieci, przekracza gzyms na wysokości trzeciego piętra.

Podróż naokoło świata. W Budapeszcie bawiło niedawno dwóch podróżników, którzy wybrali się w podróż naokoło świata w dwukołowym wózku, ciągnionym stale przez jednego z nich, podczas gdy drugi zajmuje w nim miejsce. Jazdy tej podjęli się obaj, starając się o uzyskanie 50.000 franków, wyznaczonych przez pewne stowarzyszenie w Kairze, w Egipcie, dla tego, kto w wózku takim cały świat objedzie. Podróżnicy, wyjechawszy z Kairu w jesieni ubiegłego roku, przebyli już około 10.000 kilometrów. W niedługim czasie przybędą oni do Galicyi.

Nad trumną brata. O charakterze Albańczyków, o ich właściwościach jako ludu górskiego i o ich przymiotach wojskowych opowiadaliśmy w »Roli« z powodu powstania Albańczyków przeciw Turkom. Lud ten, mimo że w wojnie okrutny dla nieprzyjaciela, dziki i zawzięty, poza tem piastuje w duszy skarby uczuć tkliwych i serdecznych, które nie milkną mimo huku wystrzałów, mimo krwi przelewanej strumieniami podczas utarczek z wojskiem tureckiem.



Pewien wojownik albański stracił w jednej z potyczek brata, mimo jednak zaciętości, jaka każdego żołnierza podczas wojny opanowuje, powierzył dowództwo oddziału innemu doświadczonemu Albańczykowi, sam zaś długie godziny w samotności pilnował zwłok swego dzielnego brata, oczekujących na pogrzeb w prostej, z niezgrabnych desek zbitej trumnie na pobojowisku.

Niezwykła ucieczka więźnia. W jednem z więzień moskiewskich osadzony był aresztant, niejzki Wojnow. Przed kilku dniami zniknął. Przy szczegółowem badaniu celi nie zauważono najmniejszych śladów wyłamania, podkopu, nic podobnego. Uciekł bez żadnego śladu. Później dopiero okazało się, że Wojnow podczas zwykłego spaceru po podwórzu wszedł do kaplicy przedpogrzebowej. Do kaplicy prowadziły jedne tylko drzwi wchodowe, innego z niej wyjście nie było. Wszedłszy do kaplicy Wojnow obejrzał leżącego w trumnie nieboszczyka, nastąpnie wszedł do trumny, położył się na trupie i pr ykrył całunem. Rozpoczęły się dlań chwile męczącego oczekiwania. Leżąc w trumnie bez ruchu, tłumiąc oddech, Wojnow słyszał głosy i rozmowy o sobie, potem wszystko ucichło. Poszukiwa zbiega były bezskuteczne. Zapadła noc. Wojnow leżał w trumnie z trupem około 10 godzin. Między godz. 2 a 3 rano, Wojnow wyszedł z trumny, wypełznął z kaplicy i niepostrzeżenie wyśliznął się z podwórza. — Przez cały dzień Wojnow włóczył się po Moskwie, lecz już wieczorem schwytano go i uwięziono. Nie długo biedak cieszył się wolnością, z takim trudem zdobyta.

Kat bez roboty. W jednej z fabryk moskiewskich wybuchły zaburzenia wśród robotników, którzy dowiedzieli się nagle, iż wraz z nimi pracuje niejaki Buzynin, były kat moskiewski. Buzynin, gdy skończył się dlań okres gorączkowej »pracy« w roku 1905, 1906 i 1907, podniósł kapitalik, jaki zdołał uciułać i wyjechał na wieś, gdzie począł zabudowywać swe gospodarstwo. Wkrótce jednak dowiedziano się o jego przeszłości i oprawca musiał porzucić wieś. W Moskwie wstąpił do fabryki jako robotnik, gdy jednak i tu ujawniono jego dawny zawód, ratował się ucieczką z obawy o swe życie. Okazuje się, że kto raz już był katem, to przy innej robocie utrzymać się nie może, gdyż robotnicy nie chcą mieć za towarzysza tego, który wieszał ludzi.

Katolicki kongres niemiecki 58-my z rzędu, odbędzie się w ciągu bieżącego roku, po raz już trzeci w tej samej miejscowości, mianowicie w Moguncyi. Posiedzenia i uroczystości odbywać się będą w czasie od 6 do 10 sierpnia. Udział w tym zjeździe przyjmie więcej niż 600 stowarzyszeń, liczących około 40.000 osób.

O wstrzymanie kary śmierci. Niedawno pisaliśmy o feldweblu pruskim Müllerze, który za zamordowanie kochanki sam żądał na siebie wyroku śmierci, więc go otrzymał i miał zostać ścięty. Dopiero w przeddzień stracenia, gdy został przewieziony do miejscowości, gdzie wyrok miał być wykonany, Müller zdecydował się wnieść prośbę o ułaskawienie. Władza sądowa wojskowa stracenie wstrzymała, uważając objawienie żalu ze strony Müllera za nowy fakt, który może wpłynąć na jego ułaskawienie. Na razie podanie zostało wysłane do prezesa najwyższego sądu wojskowego w Berlinie, a potem musi być wysłane do cesarza Wilhelma. Jeżeli prezes odmówi doręczenia prośby cesarzowi, ścięcie natychmiast musi nastąpić.

Utopieni w wannie. W miejscowości Steeglitz pod Berlinem żona mechanika, Anna Stute, posądzając męża o zdradę małżeńską, z rozpaczy utopiła dwóch swoich małych synków w wannie, a następnie sama utopiła się. Stute, powróciwszy, na widok trupów omdlał i z trudem przywróconogo do życia.

Bunt oswojonych wężów. Pogromcy dzikich zwierząt i wężów, pokazujący swe sztuki w cyrkach po całym świecie, lubo posiadają wiele sposobów, aby drapieżników uczynić nieszkodliwymi i przez całe lata wychodzą cało z klatek lwów i tygrysów, to jednak nierzadko się zdarza, że zawodzi ich własne doświadczenie i dzikie bestye w oczach widzów rodzierają swego pogromcę. Podobny wypadek zdarzył się niedawno w pewnem mieście hiszpańskiem, a ofiarą jego padła pogromczyni wężów. Na jednem z przedstawień w cyrku owinęła koło siebie trzy ogromne oswojone węże, które nigdy jej nic złego nie czyniły. Była to sztuka, którą powtarzała codzień i zbierała huczne oklaski od publiczności. Tym razem widocznie węże nie chciały owinąć się lekko koło jej ciała, bo kobieta naraz wydała przejmujący okrzyk, a równocześnie czyniła rozpaczliwe wysiłki, by uwolnić się ze splotów potworów.



Publiczność patrzyła na to z zapartym oddechem, nikt jednak nie pospieszył nieszczęśliwej z pomocą w uwolnieniu się ze strasznych uścisków. Dopiero kiedy padła na ziemię, wydając stłumione jęki, przybiegła służba cyrkowa i starała się dzikie bestye oderwać. Niestety, węże trzymały ciało swej pogromczyni w strasznym uścisku. Wtedy na rozkaz dyrektora cyrku węże zastrzelono i zakłóto, było już atoli po niewczasie. Śmierć nastąpiła skutkiem zgniecenia przez węże klatki piersiowej. — Obrazek nasz przedstawia dogorywającą pogromczynię w śmiertelnych uściskach zbuntowanych wężów.

Żyd i kapłan katolicki. Podczas głośnej katastrofy pod Paryżem, gdzie spadający latawiec zabił francuskiego ministra wojny, poranił ciężko również pewnego żyda milionera. Chwiejącego się i ociekajacego krwią pochwycił lekarz domowy i natychmiast przewiózł samochodem do szpitala najbliższego, który okazał się jedynym w Paryżu, posiadającym kapelana i siostry miłosierdzia. Gdy milioner powrócił do przytomności, zobaczył koło siebie prócz lekarzy także księdza i zakonnice. Szczególnie ksiądz czynną niósł pomoc przy opatrunkach. Dziękując wszystkim, milioner zwrócił się do księdza: »Ksiądz pewnie nie wie, że jestem izraelitą?!« »Gdy bliźni cierpi i potrzebuje pomocy, dla nas, kapłanów katolickich nie istnieje żyd ani katolik, jednako opiekujemy się każdym, bez różnicy wyznania — odparł na to szlachetny kapelan.

Długowieczność malutkiej kobiety. W Paryżu zmarła pewna karlica narodowości hiszpańskiej, przeżywszy 108 lat. — Niezwykle długowieczna ta osóbka mierzyła niecały metr wysokości, pokazywała się więc przez całe życie za pieniądze w różnych miastach. Że karzełka urodziła się istotnie w roku 1803, o tem świadczył paszport jej, wydany przez władze hiszpańskie.

Sędzia na latawcu. Pisma francuskie przytaczają interesujący wypadek o »sądzie na latawcu«. Jeden z podróżnych jazdy samolotem za opłatą, zaskarżył lotnika firmy, z której pochodził latawiec, o odszkodowanie za chorobę uszu, jakiej uległ w czasie jazdy wskutek huczenia maszyny. W czasie rozprawy sędzia orzekł, że może wydać wyrok tylko po osobistem sprawdzeniu. Rozprawę przerwano, sędzia udał się na pole wzlotów, wytoczono maszynę do latania i sędzia poleciał w powietrze. Po wylądowaniu orzekł, że jakkolwiek motor sprawia znaczny hałas, huk ten dla zdrowego ucha nie stanowi niebezpieczeństwa. Skarżący sprawę przegrał a sędzia przeleciał się za darmo na latawcu, na co jako urzędnik o skromnych dochodach nie mógłby sobie pozwolić, gdyż jazda powietrzna, nawet kilkominutowa, jest obecnie jeszcze bardzo droga. Za chwilę tej przyjemności płaci się 200 i 300 koron.

Podatek na kawalerów. W Lyonie we Francyi, postanowiła Rada miejska zwrócić się do rządu o pozwolenie nałożenia na każdego mieszkającego w mieście kawalera podatek 10 franków. Ze źródła tego spodziewają się dochodu 300.000 franków, z których utworzy się fundusz zapomogowy dla rodzin obarczonych liczną rodziną.

Kobiety przeciw proboszczowi. Do pewnej włoskiej wsi miał przybyć nowy proboszcz, który jednak nie podobał się miejscowym niewiastom, bo na jednę nogę kulał. Kobiety zapowiedziały, że nie wpuszczą go za żadną cenę na probostwo. Władze dowiedziawszy się o tem, zarządziły instalacyę proboszcza pod eskortą 50 policyantów. Skoro jednak pochód zbliżył się do wsi, zastał barykady a setki kobiet zagrodziły drogę. Żandarmerya musiała aresztować kilkadziesiąt niewiast i siłą zdobyć wejście do probostwa. Dla uchronienia proboszcza przed zaciętością kobiet musiano zostawić oddział żandarmeryi.

Najwyższa kamienica na świecie. Z Nowego Jorku donoszą, że tamtejsze stowarzyszenie budowniczyć postanowiło wybudować kamienicę o stu piętrach. Będzie ona miała 364 metrów wysokości. Na piętra będą prowadzić windy, bo wyjść na 60-te lub wyższe piętro jest dla człowieka niemożliwością. Szalony pomysł amerykański stupiętrowej kamienicy z pewnością zostanie zamieniony w czyn, bo Amerykanie są wytrwali i od raz powziętych planów nie odstępują.

Polowanie na lamparty w Ameryce południowej. Czytając o polowaniach na dziki, zwłaszcza na niedźwiedzie, szczególniej w dawnych czasach, nie możemy powstrzymać się od podziwu dla zimnej krwi wobec niebezpieczeństwa, odwagi i przytomności umysłu naszych przodków. Podróżnicy teraźniejsi, polujący w krajach południowych na lwy i tygrysy budzą również zdumienie swą odwagą. — Ale oni posiadają doskonałą broń, kule wybuchające, które trafiwszy dzikie zwierzę, rozrywają mu wnętrzności, zabezpieczać się też umieją na różne sposoby od śmierci ze strony rozjuszonego drapieżnika. Polowanie jednak takie, którego celem byłoby ujęcie dzikiej bestyi żywcem, jest im nieznanem. Na podobne łowy odważają się tylko myśliwi Ameryki południowej, ludzie półdzicy, odważni, zręczni i podstępni w podejściu zwierza.



Obrazek nasz przedstawia łowy na lamparty (zwierzę bardzo drapieżne, mniejsze od tygrysa) w południowej Ameryce. Istnieje tam osobny gatunek myśliwych, którzy dla menażeryi i cyrków jeżdżących z dzikiemi zwierzętami po świecie, łapią w stepach żywe lamparty. Ująć żywcem tego najdzikszego i najbardziej krwiożerczego z drapieżników, to zaiste czyn, mogący wywołać podziw u najzuchwalszych. Dla łowców południowo-amerykańskich jest to niemal zabawką. Dwójka takich łowców konno w szalonym cwale puszcza się w step, w ojczyznę lampartów. Gdy po drodze spotkają lamparta, naraz jeden z jeźdźców z nieomylną zręcznością rzuca ze świstem przygotowany sznur i chwyta za łeb dziką bestyę. Gdy lampart, chwycony na powróz, który dławi mu szyję i szarpnięty potężnie, padnie na wznak i zadrze w górę tylne nogi — wówczas z niezachwianą pewnością ręki rzuca swój sznur drugi myśliwy i oplątuje rozjuszonemu drapieżnikowi tylne łapy. Niebawem straszna bestya zostaje skrępowana i ubezwładniona. Dziki lampart dostaje się do klatki i jedzie koleją do odległych miast.

Wylewy w Chinach. U nas w Europie od dłuższego czasu trwały straszne upały, o kroplę deszczu wyschnięta ziemia i przedwcześnie pożółkła roślinność zdawała się błagać jak o zbawienie, a tymczasem w Azyi, w Chinach lały deszcze bezustannie. Wskutek długotrwałej ulewy wylało wiele rzek. — Całe okolice zalane. Wiele domów spłynęło z falami. Setki ludzi utonęło. Woda całe stajnie z bydłem, całe domostwa porwała, rozszerzając grozę olbrzymiej powodzi.

Głód w Indyach. Podczas gdy u nas w Europie panowały niebywałe upały i posucha, w Indyach, w Azyi, wody zalały pola na ogromnych obszarach tak, że zasiewy rolnicze są prawie zniszczone. Indyom grozi więc klęska głodu, która zresztą jest tam niestety dość częstym gościem.

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKI rachunkowe.

(Nadesłał Andrzej Czachor z C.).

1.

Pewien chłopiec zapytany ile ma lat odpowiedział: »Po 10 latach będę miał dwa razy tyle lat, ile ich miałem przed 4 laty«. Ile ma lat ów chłopiec?

2.

Dziewczynka zapytana, ile ma rodzeństwa odpowiada: »Mam tylu braci ile sióstr«; brat jej zaś dodaje: »A ja mam dwa razy tyle sióstr co braci«. Ilu chłopców i ile dziewcząt było w tej rodzinie?

3.

Na podwórzu jest dwa razy tyle kur, co w kojcu; gdyby 5 kur wyszło z kojca, byłoby na podwórzu 3 razy tyle kur, co w kojcu. Ile kur jest w kojcu a ile na podwórzu?

2. SZARADA.

(Nadesłał Górnik z S.).

Druga czwarta część ludzkiego ciała
Trzecia czwarta rzecz u kupca stała,
Całość zda się każdy lekko zgadnie,
Gdy ją pijak straci w pierwsze wpadnie.

3. DRABINKI.

(Nadesłał Górnik z S.).

—	a	a
—	n	i
—	a	j
—	l	e
—	w	a
—	a	n
—	ó	w
—	s	a

o	—	o
a	—	J
ł	—	a
r	—	k
r	—	l
p	—	w
ó	—	z
s	—	n

r	ó	—
b	ó	—
b	z	—
l	e	—
l	e	—
k	r	—
b	ó	—
r	ó	—

Kreski zastąpić w ten sposób, by litery wstawione w miejsce kresek czytane z góry w dół w pierwszej drabince dały nazwę króla polskiego, w drugiej nazwę wrogów, których pokonał a w trzeciej miejscowość gdzie tych wrogów pokonał.

4. DOSTAWIANKA.

(Nadesłał Górnik z S.).

Masz tylko jedną literę,
Lecz wnet dodaj do niej drugą
Masz wstecz miarę już dość długą;
Dopisz jedną a masz zwierzę,
Dodaj jedną ale z przodu
A masz imię — król z zawodu;
Jeśli jeszcze dwie dodacie
To miasta nazwę zyskacie.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 13 sierpnia 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nr. 30 *Roli*: 1. Łamigłówka: **Stodoła,** 2. Szarada: **Powała,** 3. Szarada: **Turnieje,** 4. Metagram: **»ak«,** 5. Zagadki: a) **Sól-los,** b) **Kos-sok.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Pięć jest zagadek — trzeba potrzeć czoła
Aby zbić myśli: pierwsza to stodoła,
Druga to poła, ława czy powała,
Przyglądnij się brachu, czy jest jeszcze cała,
Trzecia tur zwierzę, albo Rut niewiasta,
Starsza zapewne od naszego Piasta.
Znają mię dawne starożytne knieje
Memu nazwisku na imię: turnieje.
Czwarta zbyt łatwa, odgadnąć nie trudna,
Nawet żakowi szkolnemu nie nudna,
Więc jej znaczenie wyliczał nie będę,
Gdyż przez to prędzej moje rymy zbędę.
Piąta trudniejsza, lecz co, i soli nam nie trzeba,
Los nieraz szczęścia przysporzy i chleba,
Kos pono śpiewa, lecz już o to mniejsza,
Dla mnie sodówka ze sokiem smaczniejsza.

Józef Kulka.

2.

Na wsi gdzie spojrzysz dokoła,
Przy gospodarstwie stodoła;
Ale choć jest chatka mała
Jednak w niej bywa powała.
Czytaj bracie stare dzieje,
W nich wyczytasz: »W wielkiej mierze
Miewali dawni rycerze
Igrzyska zwane turnieje«.
Metagram rozwiązuję tak:
Żak, hak, jak, sak, tak, lak, mak, rak.
Zaś zagadki nie są mi w nos,
Lecz to będzie pewnie sól-los,
Kos-sok niech będzie ostatnie,
Dzięki Bogu — wyszłem z matnie.

Koło Macierzy szkol. z Sz.

3.

Gdy żniwiarze snopy zwiążą,
To je do stodoły zwożą.
Na turnieje i igrzyska
Zbiegali się rycerze zdaleka i bliska.
Rycerz Powała znaczył wiele,
Bo bił wroga zawsze śmiele.
Żak do szkoły chodzi,
Tak mówi kto się zgodzi.
Hak służy do wieszania,
Jak jest do pytania,
Sak, tem się ryby łowi,
Lak służy pisarzowi,
Mak w zbożu bywa,
Rak w wodzie pływa.
Sól służy do przyprawy
Kaszy lub innej potrawy,
Losu będzie wyciąganie,
Komu się nagroda dostanie?

Michał Żdziebłowski.

4.

Ciężka zagadka, autor ostro upomina,
Że każde słowo literą »s« się zaczyna.
Zacząłem odgadywać od pierwszego
I pomału i powoli, aż doszedłem do siódmego.
Teraz widzę, że gospodarzowi potrzebna [stodole,
W mieście jej nie ujrzysz, zaś wiele pośród [sioła.
W drugiej zagadce powała będzie,
Turnieje dawno sławne były wszędzie.
Żaki oświaty w szkole nabywają,
Targi się zwykle w miastach odbywają.
Dalej się znajduje hak, służy do wieszania,
Słowa zaś jak używamy do pytania.
Sak jest potrzebny na połów ryb,
Lak prędko rozpalający ma dziwny tryb;
Jak rak żyje w wodzie różnemi zwierzętami,
Tak mak rośnie w zbożu z wszelkiemi chwa- [stami.
Sól się znajduje pod ziemią w kopalni,
Losy ciągną i w nie wierzą ludzie zabobonni,
Kos, ptak, przebywa w lesie, w ogrodzie mało,
Wstecz z jarzyn sok i nagroda będzie cało.
Dosyć myślę sobie głowy już napsułem,
Listem zapieczętował, do »Roli wysłałem.

Jan Pożdał z J. S.

5.

Gospodarzu zboże masz
Więc go do stodoły pchasz,
Tur, zwierzyna zaginęła,
Rut w Starym zakonie słynęła.
Nie zaprzeczy wszystkim przecie,
Je kto chce żyć na świecie.
Całość każdy mi uwierzy,
Że to turnieje rycerzy.
Żak z książkami chodzi,
Tak powiada, kto się zgodzi;
Na haku łotra wieszają,
Jak ci się wisi? pytają;
Sakiem się ryby łowi,
Lak służy pisarzowi,
Mak rozmaity bywa,
Rak znów w wodzie pływa,
Sól da wszystkich potraw dają,
Na los czasem wygrywają,
Kos w lesie wyśpiewuje.

J. Dutka z D.

Oprócz tego w oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:

Teodor Buryan z L., Jan Ligęza z W., Adela Bezokówna z P., Franciszek Lebiedzik z M. K., Franciszek Moskwa z S., Karol Żyła z F., Józef Lebuda z B., Franc. Zemlik z M., Stanisław Misiewicz z Cz., Wojciech Rojek z S., M. Wyżykowski z R., J. Spławiński z J., Kula Rodolf z M. K., Józefa Hirszberg z K., Kłodka Franciszek z O., Michał Dudek z Ż., Janina z Krakowa, Kazimierz Mikołajczyk z G., Józef Kaizer z J., Józef Waszek z J., Paweł Juroczek z I., K. Szeliga z B., Z. Bogdański z I, F. Firla z G. S., F. Klocek z N. T., J. Śliwiński z B., W. Flis z L. g., J. Leja »Lejowski« z Cz. D., Czytelnia z Ch., J. Krukurka z K., W. Szczygieł z G., S. Witek z Cz., M. Strachocki z S., J. Ermiel z W. r., J. Płatkowski z M., J. Brzeziański z K, Franc. Sieradzki z Ł., A. Babiakowa z U., P. Lipowiak z L., A. Żebrok z B., J. Gąsior z S., W. Razmus z S., J. Bożek z J., Fr. Teper z M. K., J. Woś z W., J. Moś z Cz., W. Cechowy z P., W. Lewandowski z L., T. Orzechowski z U., A. Zieliński z M. z., W. Nowacki z Z., A. Szarek, A. Kościelny z D., W. Pietruchu z Rz. N., Karol Baron z P., J. Walatek z R., Łukawski z J.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Obowiązek*** wylosował p. **Józef Waszek** z J., zaś drugą p. t. ***W otchłani*** p. **Jan Ligęza** z **W.**

Rozwiązania najlepiej nadsyłać na kartkach pocztowych; uprasza się nie załatwiać na tych samych kartkach innych interesów do redakcyi.

Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Czytelniku! Niech nie braknie nigdzie naszej „Roli“,
Ona w pracy Ci pomoże, pocieszy gdy boli...
W przykrych chwilach rozweseli, zabawi w potrzebie,
A gdy trza, to pouczy, uświadomi Ciebie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Jan i Stanisław Ludkowscy w J.: Za tak miłe i pochlebne słowa uznania serdeczne dzięki. Staraniem naszem będzie i dalej pracować ku ogólnemu zadowoleniu naszych Czytelników. Maciek pochwałą bardzo się ucieszył. — M. Wyżykowski w R.: Za pozdrowienia dzięki. Kiedy Pan będzie w Krakowie? — Stanisław Franczak w P.: Każda księgarnia Panu wyśle, lecz najlepiej zwrócić się do Towarzystwa pedagogicznego we Lwowie. — Wojciech Rojek w S.: Takie to czasy! Na to samo i Maciek ciągle narzeka. Za życzenia dzięki. — Józef Byrski w R.: Nie nasza wina, że adres niedokładny. Pan Z. przesyłając prenumeratę podał taki, jak jest na opasce, więc tak pisaliśmy. Przykro nam bardzo, że nie z naszej winy ma Pan żal do nas. — Jan Saja w M.: Kalendarze na rok 1912 będą wczas, nie należy więc innych kupować, a szczególniej drukowanych za granicą, przez Niemców, bo te tylko szkodę Polakom przynoszą. Trzeba też i innych odwodzić od tego, aby szwabskiej tandety do rąk nie brali i ich swym groszem nie wspierali. — Walenty Mleczko w J.: Wysłane, należy się za numer 10 hal. — Czytelnia w Ch.: Życzymy powodzenia w losowaniu, ale to nie od nas zależy tylko od wypadku. Maciek bardzo dziękuje. — Jędrzej Moc w Przyborowie: Posyłamy regularnie, lepiej nie można. Trzeba reklamować każdy numer osobno (nie nalepiając marki) ale zaraz i numer wymienić. Takie ogłoszenie kosztuje dla prenumeratorów 1 koronę. — Henryka Zwilling w T.: Otrzymaliśmy. Prosimy przysyłać, o ile miejsce znajdziemy, umieścimy. — Bronisław Karolini w N.: Zmiana adresu kosztuje nas 40 hal. Nagrodę otrzymują ci dwaj na których los padnie. — Świderek Karol w K.: Należy się za zmianę adresu 40 hal. — J. F. Tabaszewski w M.: To co przysłane wystarczy do końca roku. Na przyszły rok proszę przysłać 4 kor. 50 hal. w październiku, to pan dostanie zaraz piękny kalendarz na rok 1912 i weźmie Pan udział w losowaniu Podarku Szczęścia. — Adam Hajduk w Steele: Za pierwsze półrocze prenumeraty już się nic przyjmuje, policzyliśmy za drugie.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Potwierdzenia prenumeraty:

Prenumeratę półroczną po dwie korony przysłali PP.:

Rusinek Ignacy z K., Sosna Franciszek z P., Sojka Józef z R., Lach Józef z B., Rapacz Franciszek z L., Jan Król z S., Franciszek Duch z J., Wincenty Sulwiński z B., Apteka Mieczysława Reichenberga z N., Wallner Alfred z R., Taborski Jan z Z., Czytelnia polska z P., Fejkiel Błażej z K. W., Bądek Franciszek z J., Kopeć Edward z K., Per Józef z P., Marya G. z Z., Ks. Bobczyński z P. U., Ks. Tadeusz Merekowski z Ch., Rodzeń Adam z K., Maciejowski Józef z D., Tabaszewski J. z M., Hajduk Adam z S., Bartoszek J. z Cz.

Nadto nadesłali: Stanisław Kaszuba z F. (2 franki), Michał Zych z S. (3 K.), Musz Wojciech z A. (1 K.), Bala Rudolf z Cz. (1 K.),

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 1 sierpnia:

Buhaje	Kor.	80	do	400	za sztukę
Woły	"	250	"	400	"
Krowy	"	140	"	210	"
Jałówki	"	100	"	210	"
Cielęta	"	30	"	80	"
Owce i kozy	"	20	"	20	"
Świnie (bita waga)	"	136	"	150	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 1 sierp:

Pszenica	Kor.	11·45	do	11·60	za 50 kg.
Żyto	"	8.50	"	9·—	"
Jęczmień	"	8.—	"	8·50	"
Owies	"	8·90	"	9·30	"
Otręby pszenne	"	6·40	"	6·50	"
Otręby żytnie	"	6·35	"	6·50	"

Na odpust do Kalwaryi za 2 kor. z przesyłką pocztową otrzyma każdy CZYTELNIK „ROLI“ piękną KSIĄŻKĘ DO MODLITWY, zawierającą na cały rok modlitwy i pieśni. Należytość przesłać do „Roli“.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.